

TADEUSZ KONWICKI



NOWY ŚWIAT I OKOLICE

Tadeusz Konwicki
NOWY ŚWIAT I OKOLICE

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2023



ISBN: 978-83-67769-83-9

Copyright © for the text and illustrations by Maria Konwicka (2022)

Copyright © for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

www.estymator.net.pl

Publikacja elektroniczna na podstawie edycji wydawnictwa Agora, Warszawa (2010),
do której tekst, na podstawie rękopisu i wcześniejszych wydań, opracował
Przemysław Kaniecki

Wydanie I: Czytelnik, Warszawa 1986

Projekt okładki: Olga Bołdok na podstawie grafiki Tadeusza Konwickiego

Ilustracje: Tadeusz Konwicki

Nowy Świat

Z ciężkim sercem zabieram się do pisania kolejnej nikomu niepotrzebnej książki. Oczywiście ten i ów łaskawy czytelnik w tym miejscu zaprotestuje, upewniając mnie, że to nieprawda, że moje książki potrzebne są młodzieży, dorosłym, a nawet niedołężnym starcom. Ale ja wiem, iż od czasu do czasu ktoś sięgnie po moją pisaninę, pogmera w niej, spojrzy z tej i tamtej strony i wreszcie odłoży między inne książki niedoczytane, niedocenione, niedopieczzone. Ja wiem wszystko o sobie i wiem wszystko o kolegach, rywalach, współzawodnikach. Ja wiem wszystko o moich łaskawych i niełaskawych czytelnikach. Ja wiem dostatecznie dużo, żeby już nigdy nie sięgać po pióro.



Labyrinth

Ale przecież natoczyłem do starego pióra starego atramentu, który nie wiadomo po co odnalazł się niedawno w rupieciach. Zaczekałem na noc, na tę głośniejszą warszawskiej kamienicy tuż przed północą, i skrywszy się przed żoną oraz dziećmi zaczynam wodzić starym piórem po starym papierze, bo papier też mam stary. I żeby sobie utrudnić to dziwaczne przedsięwzięcie, ten okropny zamiar starego recydywisty, więc żeby skomplikować pisanie tej niepotrzebnej nikomu książki, niepotrzebnej ani mnie, ani mojej biednej rodzinie, ani znękanym rodakom, więc żeby ukarać siebie za te niedobre ciągoty, postanawiam napisać książkę dla normalnego państwowego wydawnictwa, książkę, co ją sam starannie i fachowo odcenzuruję. Już dawno rozeszły się nasze drogi, to znaczy moje i urzędu cenzury. Kiedyś to był mój pierwszy wnikliwy czytelnik, mój powiernik, mój wrogi przyjaciel, czy przyjazny wróg. A potem straciliśmy się z oczu i ja się odzwyczaiłem od pierwszego wnikliwego czytelnika, od nieznanego powiernika i od wrogiego przyjaciela. Niekontrolowany, pozbawiony czulej opieki, straciwszy miarę ideową i wagę obywatelską, pisywałem, co mi ślina na język przyniosła, jakieś koślawe powieści i pokraczne wspomnienia.

Teraz wracam w jarzmo. Z własnej woli poddaję się miłosnemu uściskowi tego szlachetnego urzędu, co rezyduje w Warszawie przy ulicy Mysiej. Oto już jestem bezpieczny. Oto już za moim piórem wodzi czujnym okiem mój nieznanany opiekun, mój intelektualny ojciec, mój duchowy przewodnik. Jak mi błogo i bezpiecznie. Wreszcie.

Więc piszę po raz pierwszy w życiu książkę dla cenzorów. Zawiodłem się na czytelnikach. Zraził mnie ich brak uwagi, rozczarowała powierzchowność odbioru, zniechęciła bezwzględna zdradliwość. Ileż to razy ktoś nowo poznany wpadał w

entuzjazm, ścisnął czule obie moje dłonie i zapewniał, że zna moje książki na pamięć. Ja, mile polechtany w gruczoł próżności, tokowałem za stołem, popisywałem się, mądrzyłem, aż w którymś momencie nieszczęśliwie powołałem się na swój rodowód wileński. A wtedy mój wielbiciel robił zwykle wielkie oczy i powiadał: to pan jest z Wilna? Moja ciocia także urodziła się w Wilnie.

Tu muszę wyjaśnić moim wielbicielom, że wszystkie moje książki są przepełnione Wilnem, że w kółko i stale piszę o Wilnie, że właściwie piszę całe życie jedną i tę samą książkę, powieść z jednakową za każdym razem treścią, fabułą, z tymi samymi bohaterami, a nawet nie wysilam się przy opisach przyrody. Walę te same już od dwudziestu lat.

Mogę sobie pozwolić na takie ułatwienia w robocie powieściopisarskiej, ponieważ dawno zauważyłem, że czytelnik współczesny ma kurzą pamięć. Nie jest w stanie zapamiętać ani myśli, ani bohatera, ani nawet autora. Czasem się zdarzy, że jakiś bystrzejszy osobnik zapamięta którąś dykteryjkę z mojej książki i opowie mi przy kielichu jako swoją. Ale i ja nie pozostaję mu dłużny. Opowiadam bezwstydnie jakieś kawałki z mojej książki facetowi, co ją dopiero odłożył. A on wytrzeszcza oczy jak na jakąś nowość i jest szczęśliwy.

Więc dlatego od dwudziestu lat piszę w kółko tę samą książkę. I to nie jest wcale jakaś patetyczna wierność sobie, albo szlachetny monotematyzm, ani podniosła obsesja twórcza. Nie, to zwykła wygoda, do której mnie przyzwyczaił czytelnik.

Ale oto dziś z jakiejś pustoty, dla figlów, albo może z ostatecznej rozpaczki wybieram sobie na przyjaciela, aż do ostatniej strony, anonimowego cenzora, który za skromną pensję odbędzie ze mną cudowną podróż pełną geograficznych niezwykłości, który będzie czule prowadził moją sterczą rękę ze starym watermanem, który będzie skreślał niepotrzebne słowa i dwuznaczne myśli, który oświeci prawomyślnością mój stary grzeszny łeb.

Wracajmy jednak do Nowego Świata.

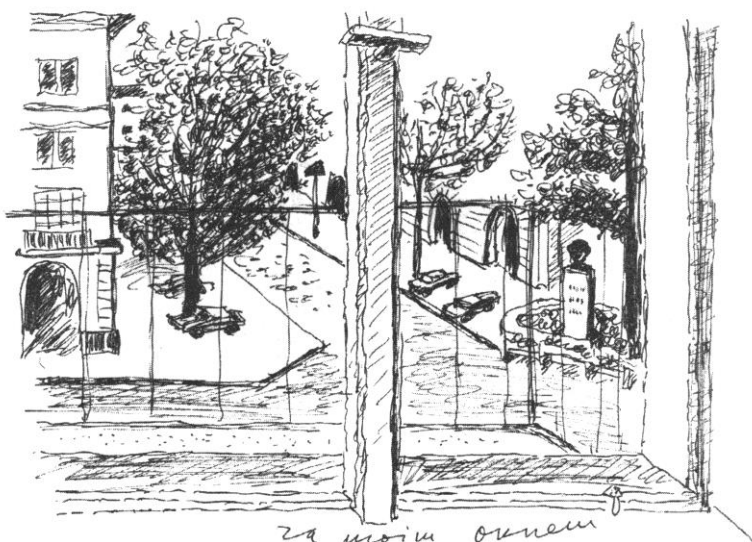
Jeszcze raz Nowy Świat

Nowy Świat to ulica w Warszawie. Każde stare miasto ma Nowy Świat. Kiedyś robiło się ciasno w grodach ściśniętych obronnymi murami i życie pewnego dnia wylewało się poza te mury, poza fosy, w wolną przestrzeń łąk, zagajników, ruczajów. Tak powstawały nowe światy. Tak powstał nowy świat za oceanem.

W moim rodzinnym Wilnie nowy świat nazywał się z ruska „nowostrojka”. Ale ja tam nigdy nie byłem, znam tę bandycką dzielnicę z opowiadań przed snem, albo z legend powtarzanych przez uczniów, co kurzyli kradzione papierosy pod płotem szkoły.

Warszawski Nowy Świat zobaczyłem po raz pierwszy w 1947 roku, kiedy przeniosłem się z Krakowa razem z tygodnikiem „Odrodzenie”, w którym byłem wówczas redaktorem technicznym albo może już sekretarzem redakcji. Przeniósł nas Jerzy Borejsza, prezes wydawnictwa „Czytelnik”, które było w owym czasie jakimś niesamowicie kolosalnym koncernem, większym może nawet od największych amerykańskich, jakimś niesłychanym wybrykiem ludzkiej wyobraźni, pomysłowości, dobrej woli w kraju kompletnie spustoszonej i przyjmującej niechętnie nową wiarę ze Wschodu.

Wiec przeniósł nas Borejsza do Warszawy powodowany kaprysem godnym Hearsta i ulokował w hotelu Bristol, sławnym hotelu warszawskim, ocalałym dziwnym trafem pośród oceanu ruin. I ja, dwudziestoletni, jeszcze wileński, jeszcze wiejski i przaśny, zamieszkałem w wytwornym apartamencie obok dyplomatów, ministrów, generałów. Wylegiwałem się na kanapach tego Bristolu chyba pół roku, zanim znowu mocą czarodziejską prezes Borejsza przeniósł mnie na ulicę Frascati i ulokował troskliwie w słonecznym pokoiku z małą kuchenką jak ministra albo spekulanta.



A idzie mi o to, że między Bristolem a ulicą Frascati rozciąga się Nowy Świat, ten sławny trakt królów polskich, który w tamtych latach był wąską ścieżką w kanionie gruzu porastającego suchą trawą i wątlymi brzoźkami. Tą ścieżką, krętą i wyboistą, chodziłem z Bristolu do drukarni, która mieściła się przy placu Unii Lubelskiej, a później, kiedy przeniosłem się na Frascati, tym wąwozem królewskim chodziłem w niedzielę na spacer w stronę Starego Miasta. A były to wyprawy niebezpieczne i kiedy mijało się hotel Bristol, który był ostatnią wyspą cywilizacji,

wchodziło się na pustkowia przypominające Góry Skaliste, gdzie można było stracić zegarek, portfel, a nawet życie.

Bandyci warszawscy mieli wtedy swój sznyt. Nie było nawet mowy o jakimś chamstwie, albo o braku wychowania. Rabuś warszawski wychylał się z ciemności proponując grzecznie transakcję handlową: kup pan cegłę. A wokół jak duchy snuły się dziewczęta lekkich obyczajów, które zwano „gruzinkami”, gdyż przyjmowały klientów właśnie w gruzach.

Potem, właściwie nie wiadomo kiedy, Nowy Świat podniósł się z ruin. Stał się raptem na przestrzeni dwóch czy trzech lat przyzwoitą ulicą naśladowującą obrazy Canaletta. Bardzo szybko w tych sztucznych zabytkach z osiemnastego wieku zagnieździło się życie może uboższe i bardziej szare niż przed wojną, ale za to agresywne, zachłanne, zwycięskie. I ja się tam pojawiłem jako lokator nowej kamienicy na ulicy Górskiego, która biegnie od Szpitalnej i zatrzymuje się od tyłu przed bramą domu Nowy Świat 41.

Ten Nowy Świat to mój szlak w świetlaną przyszłość albo moja Golgota ze stacjami mojej męki, które jeszcze wyliczę w stosownej chwili. Po tej ulicy zakrzywionej jak szabla turecka chodzę w rześki ranek, kiedy pędzę do pracy dla dobra bliźnich, po tej ulicy płytkiej jak rynsztok snuję się na niedzielnych spacerach z rodziną, na tej ulicy bliskiej jak droga do szkoły zataczam się czasem, wstyd powiedzieć, w godzinach nocnych po spożyciu alkoholu.

Warszawski Nowy Świat to mój wszechświat i mała kometa z niedługim ogonem w tym moim własnym wszechświecie.

Zapaść

Zdarzyła się na samym początku. Jeszcze nie tak dawno przytrafiała się raz na miesiąc albo raz na trzy tygodnie. Teraz co drugi dzień. Trzynastego. Piątek. Zapaść implozyjna.

Zapaść na pierwszych stronach książki zaczętej bez wiary i przekonania. Może by zdobyć się na pointę i już teraz skończyć książkę, a potem czekać na śmierć. Ale nie ma skąd wziąć przyzwoitej pointy. Już w ogóle nie istnieją dobre pointy. Wyczerpały się stare zapasy, a nowych opatrność nie produkuje.

Moje życie to króciutkie, niskie wzloty i głębokie, długotrwałe zapaści. Ale kogo to obchodzi. Każdy sam jest zajęty swoim własnym wzlotem lub dotkliwym upadkiem.

Sto tysięcy literatów na całym świecie wodzi w tej chwili piórem po papierze usiłując przeskoczyć Szekspira i Dostojewskiego.

Trzy miliony czterysta tysięcy znachorów, uzdrowicieli, cudotwórców napina teraz wszystkie wewnętrzne moce z silnym postanowieniem dokonania cudu.

Cztery miliardy osiemset milionów ludzi czyta horoskopy i czeka na szczęście. Zapaść słowiańska. Zapaść europejska. Zapaść globalna.

Dalszy ciąg Nowego Światu

Dalszy ciąg Nowego Światu to Krakowskie Przedmieście w stronę Starego Miasta, natomiast Aleje Ujazdowskie w kierunku królewskiego Wilanowa. Tu przeżyłem połowę swego życia. Place, skwery, kościoły, podupadające sklepy, umierające raptem na suchoty kawiarnie i restauracje. Skromna dzielniczka prowincjonalnego miasta. Wzruszająca siedziba prowincjonalnego artysty.

Więc zaczynałem swoją karierę na kamiennych zwłokach zabitego miasta. Mój nowy świat, wielki świat Europy, kiedy przyjechałem tu z rodzinnej Wileńszczyzny, to było kilkanaście podziurawionych przez kule gmachów i ogromna masa suteryn, piwnic, walących się składzików, pieczar czarnych od sadzy, tuneli śmierdzących rozpadającymi się trupami. Ten nowy świat nie zaskoczył mnie swoim ogromem, przepychem cywilizacyjnym, egzotyką gwałtowności życia. Ten nowy świat cuchnął spalenizną jak miasteczka podwileńskie, straszyl biedą jak wsie białoruskie, zachwycał odludziem jak stare puszcze na północ od Niemna.

Teraz dopiero, kiedy ciągle spoglądam wstecz, kiedy coraz częściej rzucam spojrzeniem poza siebie, zaczynam myśleć o moich rówieśnikach literackich, co gdzieś tam na świecie próbowali w tym czasie układać słowa w zdania, a zdania w całe książki. Wtedy świat wydawał się ogromny i jakby nieskończony, ale dziś wiem, i sam to zresztą sprawdziłem, że jest strasznie mały i dziw, iż się na nim tyle ludzi mieści i nikt nie spada w straszną, mroźną ciemność nieba, bo niebo okazało się ku naszej ogólnej konsternacji lodowatą próżnią. Więc po prostu wspominając owe lata, kiedy zaczynaliśmy żyć od nowa i po nowemu, coraz częściej myślę jak o własnych rodzonych braciach o tych literatach troszkę ode mnie starszych albo młodszych czy po prostu rówieśnych, o Josephie Hellerze czy Philipie Rocie, o Kunderze czy Hrabalu, o Stoppardzie czy Pinterze, o Aksionowie czy o Wiktorze Niekrasowie. Nie wiem dlaczego, lecz wydaje mi się raptem, że to są moi krewni. Że z Rothem latałem do seksuologów, a z Niekrasowem marzłem w okopach Stalingradu, że ze Stoppardem podróżowałem przez Indie, a z Waską Aksionowem czekałem w Magadanie, kiedy jego mama, Żenią Ginzburg, wyjdzie z łagra.

Tak mnie raptem coś wzięło i poczułem nagłą wspólnotę z tymi ludźmi, co podobnie jak ja nie wiadomo po co układają słowa w nieskończone ciągi, i poczułem jakąś bliskość z nimi, czułą solidarność, jedną wspólnotę losu, choć nie wiem, czy będzie im miła ta moja poufałość i to moje współbraterstwo.

Ale kiedy wracam na ten warszawski Nowy Świat, to znaczy kiedy wpełzam pamięcią na hałdy gorącego wapna i rozpalonych okrucich cegieł, kiedy stoję między ogromnymi krzakami lebiód, ostów i piołunów i kiedy myślę o swoim nieznanym, nieprzeżytych jeszcze losie, przywołuje z dalekiej przyszłości tych młodych ludzi na świadków. Na świadków czego? Naszych wspólnych klęsk czy pojedynczych zwycięstw? Na świadków czego?

Niewolnik imperium, władca imperium

Nowym Światem, Warszawą, całą Polską rządził wtedy „Czytelnik”, spółdzielnia wydawnicza założona przez Borejszę. Nie wiem, kim był Borejsza, nie wiem, co robił podczas wojny. Poznałem go dopiero w czterdziestym siódmym, kiedy sprowadził „Odrodzenie” z Krakowa do Warszawy. Dlaczego ten masywny, tęgi człowiek z zapieczoną pianą w kątach ust, grasejujący w tak charakterystyczny sposób, z manierami zaściankowego szlagona, z gestem wszechwładnego bossa koncernu z początków naszego wieku, dlaczego ten człowiek upatrzył sobie skromny tygodnik literacki, dlaczego całą ambicję włożył w odebranie tej zabawki Karolowi Kurylukowi, założycielowi i twórcy „Odrodzenia”, dlaczego mając kilkadziesiąt gazet, tygodników, miesięczników chciał koniecznie redagować ten niewielki periodyk?

Imperium Borejszy trzymało mocno w łapach cały kraj. Drukarnie, wydawnictwa, prasę, ruchome biblioteki, towarzystwa odczytowe, pewnie również fabryki papieru. Pamiętam, że w czterdziestym ósmym „Czytelnik” wznowił nawet wyścig kolarski dookoła Polski. Z trzeciego piętra na ulicy Wiejskiej, gdzie mieściła się redakcja „Odrodzenia”, na ulicy Wiejskiej będącej także własnością koncernu, patrzyłem, jak w dole chwiała się na rowerach kawalkada zawodników w kolorowych koszulkach, a dyrektor Kobus w białej czapeczce Towarzystwa Cyklistów dawał wielką chorągwią znak do startu. Ale może dyrektor Kobus, szef transportu „Czytelnika”, zajmował się organizacją wyścigu, natomiast sygnał do honorowego startu dawał prezes? Nie wiem, nie pamiętam, pamiętam tylko chwiejących się na boki zawodników, którzy podpierali się jedną nogą czekając na start, i pamiętam siebie wychylającego się z okna redakcji w słoneczny, a może pochmurny dzień sierpniowy.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI